

Bruno Kadyna

# Ogień zgasł



**Ilustracja:** Bruno Kadyna

**Strona autora:** [brunokadyna.pl](http://brunokadyna.pl)

**Adres:** [bruno.kadyna@wp.pl](mailto:bruno.kadyna@wp.pl)

Grudzień 2017

Nie śpię, drzemię tylko. Czuwam, żeby ogień się palił, choć tak naprawdę nie muszę, żaru jest tyle, że wystarczy coś wrzucić i zaraz pojawiłyby się płomienie. Ale jest zimno, a ja nie czuję się za dobrze.

Od kilku dni korci mnie, żeby się napić, bardziej, niż wcześniej. Siedzenie przy ogniu zawsze równało się z piciem whisky, inaczej po co siedzieć i się wędzić.

– To niedopuszczalne, chłopie.

Gdybym się nawalił, byłoby tylko gorzej.

– Skup się na ogniu.

Spluwam w żar, zasyczał oburzony. Ogień jest teraz moim domem, moją rodziną. Jest niesamowity. Dlaczego się pali? Jak to się dzieje? Potrafimy stwierdzić, ocenić i nazwać czynniki niezbędne do zapłonu i spalania, ale nic więcej. Dlaczego jest taki, a nie inny, skąd ten hipnotyczny ruch, energia i piękno?

– I brak życia.

Wystarczy jedna myśl.

– Nie – zaciskam zęby.

Kulę się i wstrzymuję oddech, muszę przetrzymać.

– Spokój. Spokój, mówię.

Oddałbym wszystko, żeby to był atak kamieni nerkowych albo coś równie dotkliwego, tylko nie to. Nie łudzę się już, że to koszmarny sen. Trwa za długo i jest zbyt rzeczywiste.

Dopiero skupienie na płomieniach, na dokładaniu drewna, podgarnianiu żaru sprawia, że emocje wycofują się z powrotem do gardła, gdzie zamieszkały wraz ze swoją nieodłączną towarzyszką, goryczą.

Poranek jest szary i nieprzyjemny, ale ogień pali się jak trzeba, trzaska pięknie.

– Brrrr. – Wzdrygam się.

Z dnia na dzień robi się zimniej. Zadzieram głowę i patrzę w

niebo, kark zdrętwiał, strzeliło w nim.

– Nie będzie padać.

Padało przez dwa dni. Żaru jest mnóstwo, żadna ulewa go nie ugasi, ale ciężko się siedzi pod parasolem, kiedy leje. Przeziębilem się, z nosa leci. Pewnie niedługo dostanę gorączki, może zapalenia płuc.

– Sram na to.

Nie mam pojęcia jaki dziś dzień, chyba sobota.

– Kawa.

Kilka dni temu zacząłem mówić do siebie. Z początku starałem się powstrzymać, wytłumaczyć sobie, że to świrowanie, ale w końcu machnąłem ręką.

Wstaję powoli, żeby zastałych i zmarzniętych kolan szlag nie trafił, ale i tak bolą. To dobrze. Ból skutecznie odwraca uwagę. Przedwczoraj poparzyłem się porządnie i zapomniałem o wszystkim. Cudowne to były minuty.

Przeciągam się, schylam po mały czajnik i podchodzę pod dom, żeby nalać wody z węża i umyć kubek. Zawsze się z tym uwijam, nie mogę być blisko domu zbyt długo.

Sąsiedzi co jakiś czas podchodzą do okien i obserwują, są coraz bardziej ciekawi, jak długo jeszcze będę tak siedział. W którymś z pierwszych dni przyszły do mnie trzy sąsiadki, żeby pocieszyć. To miłe, choć nic nie dało. Czuję ich obecność, to, że łączą się ze mną w bólu, przynajmniej w jakiś sposób.

Stawiam kubek i czajnik na pniaku, mam cztery takie wokół paleniska. Używam ich do siedzenia i jako stoliki. Biorę kij i zgarniam trochę żaru w wąską kupkę. Po bokach kładę dwie przerabane belki i zbliżam do siebie, a pomiędzy układam małe polana i stawiam czajnik. Po chwili pojawia się pod nim ogień. Sypię kawę do kubka.

Czekam. Nie mam pojęcia, która godzina, ale pewnie po

siódmej. To pora wstawania w naszym domu.

‘Simanooo!’ – odzywa się głos w głowie.

Najgorsze, kiedy przez chwilę nic nie robię. Wtedy często jakiejś myśli obleczonej w głos albo w obraz udaje się uwolnić i wyskakuje niespodziewanie. Chce, żebym się na niej skupił i uwolnił kolejne.

To wywołuje potworną rozpacz, która bardzo chętnie podrywa się z miejsca, żeby chwycić za gardło i poddusić.

– Siemano – odpowiadam, nie mogę się powstrzymać.

Kulę się i łkam.

– Przestań, już.

Nie mogę za tym pójść, bo to nie oczyści, tylko zniszczy. Zaciskam zęby i wbijam wzrok w żar, żeby się na nim skoncentrować.

Wygląda przez łzy jak lawa.

– Przestań, kretynie.

Uderzam kilka razy pięścią w ławkę, porządnie, żeby poczuć. Wyciągam chusteczkę, wydmuchuję nos i wrzucam w ogień. Usilnie skupiam się na tym, jak płomienie atakują papier.

Woda zaczyna się gotować. Biorę dwa patyki, jeden wsuwam z lewej strony prostokątnej rączki, a drugi z prawej. W ten sposób mogę podnieść czajnik i zalać kawę do pełna, bez rozlewania. Odstawiam go na trawę i rozsuwam belki na boki paleniska, żeby się nie spaliły. Zamykam się w grubym kocu. Z kubkiem w dłoniach wyglądam jak dymiący mini wigwam.

Staram się nie myśleć o niczym. Ma być tylko smak kawy. To dobra ucieczka. Nie kojarzy się z domem. Pewnie dlatego, że nigdy nie piłem jej z żoną, zawsze w pracy.

W brzuchu bulgocze. Nic wczoraj nie jadłem. Nikt nie

przyszedł. Z jednej strony dobrze, bo nie chcę nikogo widzieć, a z drugiej źle, bo pewnie w końcu będę musiał się stąd ruszyć, wejść do domu. Z dwojga złego już wolę czyjeś towarzystwo przez chwilę.

Koniec drewna.

– Trzeba ruszyć dupę.

Wypijam kawę. Łyzeczką wygrzebuję fusy i wrzucam w żar. Lubię zapach palonej kawy, jeden z niewielu drobiazgów, które sprawiają przyjemność. Wstaję, wrzucam resztę drewna i ruszam przez ogród do furtki, gdzie stoi taczka, w niej leży siekiera.

W pierwszych dniach musiałem chodzić do lasu dwa razy, rano i zanim słońce zaszło, ale to za dużo, dlatego nauczyłem się oszczędzać drewno.

W lesie leję, walę kloca i ruszam dalej główną drogą. Śpieszę się, niemal biegnę, bo to miejsce jest jak mechanizm wywołujący wspomnienia, tutaj zawsze mnie jedno dopada.

Tym razem też.

‘Di di, da...’ – słyszę głos w głowie.

Przerywam mu szybko.

– Nie!

Wyrywam do przodu, jak wystraszone dziecko, nie ma tylko matki, do której mógłbym uciec. Taczka podskakuje na wybojach. Uciekam od głosu i obrazu, jaki chce do niego dołączyć, skupiam się na pobrząkiwaniu siekiery w taczce. Wydaje się teraz potwornie ciężka, mimo że pusta.

Nie chcę już myśleć, co by było, gdybym poddał się i pozwolił, by umysł poszedł w tym kierunku, tak jak radzą rodzina i przyjaciele.

Dobrze wiem co by było. Po mnie.

Udaje mi się uspokoić dopiero, kiedy widzę sarnę. Długo nie ucieka. Chyba nigdy wcześniej nie widziała i nie czuła człowieka w takim stanie. Musi być bardzo ciekawa, bo dopiero kiedy jestem blisko, rusza się i odchodzi powoli, nie spuszczając mnie z oczu.

Wybieram grubsze powalone drzewa i rąbię na krótkie kawałki, które z obu stron wyglądają jak opędzlowane przez bobra. Czyszczę las dokumentnie i muszę chodzić coraz dalej. Nie przeszkadza mi to. Im trudniej, tym lepiej. I tak zbieranie przerywa czasami upierdliwa, bolesna gorycz. Wystarczy jedna myśl. Wtedy staram się ją wygonić opętanym rąbaniem. Pierwszego dnia narobiłem sobie wielkich pęcherzy, na drugi dzień dłoń krwawiła, w kolejnych już tylko bolała, ale to nie przynosi ulgi. Sam nie wiem dlaczego jeden rodzaj bólu odwraca uwagę od rozpacz, a inny nie.

Z badyli robię przedłużenie burt taczki i wypełniam drewnem na wysokość klatki piersiowej. Mógłbym ładować więcej, ale nie da rady pchać takiego ciężaru na jednym kole.

Ostatnia prosta przed furtką idzie pod górę i ledwie dają radę. Czuję, że słabnę przez chorobę i z głodu. Łapię zimne powietrze, jak tonący, w gardle i piersi piecze, głowa boli coraz bardziej. Jestem już prawie u góry, kiedy widzę kłęby białego dymu unoszące się z ogrodu. Wiem, co daje tyle dymu. Wilgoć, dużo wilgoci. Nie pasuje mi to, nie powinno go być.

– Przecież dołożyłem, żaru jest pełno.

Przyśpieszam. Kiedy jestem przy furtce słyszę syk i widzę, co się dzieje.

– Co ty robisz?!

Puszczam taczkę, a ta przewraca się na bok. Drewno wysypuje się z głuchym dudnieniem. Biegnę do paleniska i wyrywam matce wąż ogrodowy.

– Jak możesz?! Dlaczego mi to robisz?! – wydzieram się.

Wystraszyła się i zrobiła krok do tyłu.

– Tak dalej być nie może, synku. Jak ty wyglądasz? Rozchorujesz się, już masz katar.

Jestem brudny jak menel, wiem bardzo dobrze i mam to w dupie. Woń dymu maskuje smród. Dlatego mi nie przeszkadza.

Rzucam wąż za siebie i padam na kolana przed zalanym ogniskiem. Drewno zgasło, żar szerniał, ale głębiej ma jeszcze kolor jak trzeba. Gorączkowo grzebię w nim rękoma, robią się czarne od mokrej sadzy, wyciągam węgielki na bok, zgarniam na kupkę. Nie dbam o to, że śmierdzi paloną skórą. Kiedy matka to widzi, chowa twarz w dłonie i zaczyna płakać.

– Jak mogłaś?! – Jestem wściekły.

Biegnę do przewróconej taczki, nie spuszczam matki z oczu, boję się, że będzie chciała dokończyć dzieła, ale siedzi na ławce i rozkleja się na dobre. Biorę siekiere, wybieram mniejszy kawałek drewna i wracam na miejsce. Rozłupuję klocek na cienkie szczapki i układam na węgielkach, pochylam się, jak do bicia pokłonu i dmucham. Po chwili pojawiają się płomienie. Czuję ulgę, została tylko złość na matkę.

– Wiesz, co prawie zrobiłaś? – warczę.

– Ja już nie mogę, synku. Nie mogę dłużej patrzeć na to, co się z tobą dzieje.

– To nie patrz!

Nieokiełznana mowa rani matkę, ale miłość do syna jest silniejsza.

– Musisz przestać, musisz się z tym pogodzić, choćby nie wiem, co. Tak jak ja. Mnie też jest ciężko, ale musimy żyć dalej, synku.

– Idź stąd! – wydzieram się, aż podskoczyła.

Nie mam zamiaru tego słuchać. Przecieram brudną dłonią spocone z nerwów czoło i przystrajam czarną smugą.

– Nic nie rozumiesz. Został mi tylko ten ogień. Musi się palić!

– Zaczynam płakać, mimo że żadne wspomnienie się nie pojawiło.



– Za wszelką cenę.

Ten ogień jest wszystkim co mam, co mi zostało.

Mama wstaje i z płaczem idzie do domu. Patrzę, jak znika w środku. Zauważam torbę na ławce.

Uspokajam się i robi mi się jej żal.

‘Kocham ciapcie’ – słyszę.

– Nie!

Ból wraca i się nasila, bo umysł ciągnie w tym kierunku, chce tego.

– Nie, tylko nie to. Głupi łbie!

Podrywam się z miejsca, żeby do tego nie dopuścić. Dopadam do taczki, stawiam i zaczynam gorączkowo ładować z powrotem.

– Nazbierałem pełno dobrego drewna. Nawalę dużo, wysuszę palenisko i narobię od groma żaru – gadam od rzeczy, żeby przepędzić cierpienie. – Później pójdę do lasu jeszcze raz, trudno, nic się nie stało, będę miał zapas.

\*\*\*

Ogień pali się dziko, tańczą wysoko płomienie. W torbie od mamy znajduję pierogi, chleb, zawinięte w folię mięso z warzywami, kawę, herbatę i kilka innych rzeczy, nie wyciągam wszystkiego.

Głupio mi, że się na nią wydarłem.

– Każdy jest inny.

Przeżywa to inaczej. Rozumiem, że nie może patrzeć na mój stan, w końcu wiem, jak to jest być rodzicem.

Zaciskam powieki i słyszę głos żony.

‘On za tobą tęskni. Czasami stoi w przedpokoju, pokazuje na drzwi i woła: tata idzie!’

Nie zdążyłem się rozkleić, podrywam się i zaczynam grzebać kijem w ognisku. Gorąco pali dłoń i przepędza niechciane myśli. Moje ręce wyglądają już naprawdę źle. Najgorsze, że szybko przyzwyczajam się do bólu, który nie odciąga umysłu, jak powinien.

– Ciekawe, jak głęboko w ziemię wchodzi gorąco?

Muszę zajmować głowę głupotami, inaczej zacznę wyciągać to, czego nie powinna.

– Co jeszcze mamy? – Podchodzę do ławki.

Gdybym wiedział, co matka włożyła do torby, w ogóle bym do niej nie zaglądał.

Siadam i sprawdzam resztę. Kielbasę, ser, pół kostki smalcu, jabłka, a kiedy wyciągam banany, natrafiam ręką na Tediego, misia wielkości męskiej dłoni.

Paraliżuje mnie.

Trzymam maskotkę w obu dłoniach i wpatruję w nią wytrzeszczonymi oczami. Momentalnie wypełniają się łzami. Chciałbym móc wrzucić misia w ogień i szybko odwrócić czymś uwagę, jakbym w ogóle go nie widział. Ale jest zbyt cenny.

‘Tedi!!!’

Wybucham tak dotkliwie, że zaczynam się dławić. Sąsiadki kulą się za firankami i płaczą razem ze mną, czuję ich obecność, jest wstydliva, niepokieszająca, choć chciałbym, żeby była, bo wiem, że wyobrażają sobie, co przeżywam.

Szlocham głośno, bo umysł siłą wypycha przed oczy obraz

synka śpiącego z Tedim przy buzi. Widzę jego zaróżowione, pucułowate poliki, lekko rozchylone usteczka i rączkę, która w momencie, kiedy odpłynął, puściła misia.

– W mordę!

Tłukę pięścią w ławkę, chcę być wściekły, za to prawie mdleję i lecę do przodu, głową w ogień. Żałuję, że zadziałał odruch ciała i mnie powstrzymał.

– Pozbieraj się, kretynie.

Wrzucam misia z powrotem do torby, a tę kładę za ławką. Tak bardzo chciałbym oddać go synkowi.

– Spokój, debilu!

Podrywam się z ławki i prawie przewracam. Kręci mi się w głowie.

– Tak, zjem pierogi i wypiję herbatę, hm hmm hmmm – nuce niemelodyjnie, żałośnie. – Mam smaluszek, super, hmm hm hm...

Grzebię kijem w ognisku, śpieszę się, siłą koncentruję na żarze i trawionym drewnie. Wyglądam przy tym jak szalony naukowiec skupiony na jakiejś niecnej pracy. Zaczynam już się nawet trochę czuć jak szalenciec. Zgarniam żar i podsuwam belki. Kładę na nich patelnię, żeby odsmażyć pierogi. Mama przyniosła ją kilka dni temu. Dlatego włożyła do torby smalec, bo wie, że lubię mocno odsmażane, na brązowo. Obok stawiam czajnik z wodą na herbatę. Odwijam smalec i specjalnie przygotowanym kawałkiem szczapki odcinam kawałek na patelnię. Otwieram pudełko z pierogami. Po chwili skwierczą smakowicie. W takim żarze można już topić srebro, albo kuć żelazo, dlatego muszę cały czas ruszać patelnię, żeby pierogi się nie przypaliły. Palę przy tym ostatnie włosy na rękach, a kurtka śmierdzi topionym tworzywem.

Zapominam o Tedim.

Pierwszy pieróg rozochocił żołądek i wściekły głód cudownie odwrócił uwagę od całego świata. Istnieje tylko ogień i smak gorącego, chrupiącego ciasta i farszu.

Kończę i wstaję, żeby umyć patelnię. Widzę swojego przyjaciela, Mariusza, stoi w wejściu do domu, z plecakiem w ręce. Wiem, co w nim przyniósł.

Patrzymy na siebie przez chwilę.

– Siemasz, stary – mówi Mariusz.

– Siema, co tam?

I automatycznie włącza się gra pozorów. Udawana normalność, choć wszystko jest jasne. Przecież widzi, w jakim jestem stanie, wszyscy wiedzą od początku. Po co pajacują i cieszą mordy, jakby wpadali do mnie na jeden ze zwykłych wieczorów przy ognisku?

Nie mam ochoty z nikim gadać.

– Wiedziałem, że tu będziesz, stary lisie – żartuje.

Z drugiej strony Mario może zająć umysł, skupić na sobie uwagę. I nie zawieść jak matka.

– Siadaj. Mogę ci zrobić kawę albo herbatę. Chcesz kiełbasę?  
– pytam.

– Nic nie chcę, mam coś lepszego. Daj jakieś szkło albo cokolwiek. I jesteś brudny na gębie.

Wycieram się chusteczką, powinno być trochę lepiej.

Mario siada na ławce bokiem, broni nabiał przed buchającym gorącem. Stara się zachowywać normalnie, jak gdyby nigdy nic.

– Ale rozhajcowałeś.

– Ja nie chcę pić, stary, nie mogę – mówię.

– Tam pierdzielisz, właśnie powinieneś. – Wyciąga z plecaka butelkę świetnej whisky.

– Jak wypiję, zacznę myśleć. Nie mogę. Sam się napij. Umyję ci kubek.

Podchodzę do węża i myję. Ależ mam ochotę na tą whisky.

– Trzymaj. – Podaję kubek i siadam obok.

– Jak chcesz. Dobrze wiesz, co tracisz. A myśleć powinieneś.

Musisz to przetrwać chłopie, wszyscy cały czas chcą ci pomóc.

– Nie możecie mi pomóc, nikt nie może, każdy jest inny. Wiem, jaki ja jestem. I nie chcę o tym gadać.

Patrzę, jak Mariusz zrywa folię z szyjki, wyciąga korek i nalewa sobie. Kurczę, ta ochota silnie odwraca uwagę. Może nie będzie tak źle, jeśli wypiję?

– Może i tak, ale nie musisz być z tym sam, tylko pozwól sobie pomóc – dodaje.

Nie odpowiadam. Wpadam na pomysł.

– Pójdiesz ze mną po drewno? Nic nie musisz robić, tylko gadać, co tam ciekawego kupiłeś ostatnio.

Zależy mi przede wszystkim na odwróceniu uwagi na głównej drodze, gdzie zawsze odzywa się Borys.

Mariusz pociąga łyżek złocistej cieczy, a jego twarz odzwierciedla smak. Robi to specjalnie, choć nie musi. Dobrze wiem, co czuje w ustach. Tym bardziej ochota rośnie.

– Pewnie, czemu nie, ubrałem gorsze ciuchy.

Obecność Mariusza pomaga.

– Wali od ciebie, stary, konkretnie – mówi podczas ładowania taczki.

– Już trochę czasu się nie myłem.

– Trochę, tak? Od kiedy?

– Od... – zacinam się i przełykam ślinę.

Przyjaciel orientuje się i odwraca uwagę.

– Dobra, srać na to, choć tak trochę właśnie śmierdzisz, jak obsrany. – Schyla się po ostatnie polana.

– Ok, wystarczy – mówię.

– Dasz radę?

– Pewnie, zjadłem pierogi.

Chwytam za rączki, prostuję się i ruszam niebezpiecznie wyładowaną tawką. Nie pokazuję, że cieszę się z jego wizyty. Dawno mój łeb nie odpoczywał tak długo.

Siadamy z powrotem na ławce. Mariusz nalewa sobie whisky, a ja robię kawę, daję przyjacielowi koc na plecy i robi się przyjemniej. Potem piekę kiełbasy. Mariusz opowiada o pracy w korporacji, o swoich pasjach, kolekcjonowaniu drogiej whisky, kupowaniu i remontowaniu starych samochodów. Właśnie zabiera się za jakiegoś Saaba. Rzadko udaje mu się sprzedać coś z zyskiem, ale to przecież hobby, szmal nie jest najważniejszy.

Spotkanie przypomina trochę jedno z wieczorów, które często organizowałem, jak tylko pozwalała pogoda. W ciągu całego lata było ich zazwyczaj kilkanaście.

W końcu Mario musi się zbierać do domu, do żony i dzieciaków. Wypił prawie pół butelki i ma już w czubie.

– Ciemno. – Patrzy na zegarek. – Po szesnastej. Muszę spadać. Zostawiam ci flaszkę, napij się dzisiaj.

– Wiesz, że nie mogę, nie teraz. Zabierz ze sobą.

– Stary, znam cię. Musisz się poddać, a na trzeźwo nie masz szans, za bardzo się bronisz.

– Widać mnie nie znasz.

– Wiem, że ci ciężko, nawet nie chcę sobie wyobrazić jak bardzo, ale musisz się wziąć w garść. Ile jeszcze tu wytrzymasz? Zimno jak pies, co chwilę pada. Podobno ma padać śnieg. Zmarzłem przez ten czas, a ty tu siedzisz tyle dni.

– Dobrze mi.

– Pieprzenie. Siorbiesz nosem, w końcu cię rozpieprzy choróbsko. Już nie powiem, jak śmierdzisz. Może już ci kalafior w dupie rośnie. Musisz się wziąć w garść chłopie.

– Muszę tu być.

Mariusz załamuje ręce.

– Jak musisz? Wy tłumacz mi, bo nie rozumiem.

Nie mam zamiaru niczego tłumaczyć, bo to nie skończyłoby się dobrze. Mógłbym wytłumaczyć tylko jednej osobie, ale jej już nie ma.

– Nie chcę o tym mówić, stary.

Lekko pijany Mariusz nie słyszy załamania głosu. Alkohol pali takt i wycucie, jak ogień siano.

– No powiedz, może będę mógł ci jakoś pomóc.

– Nie.

– Jestem twoim kumplem, możesz mi zaufać przecież. Magda by tego chciała.

– Powiedziałem, nie! Nie dociera do ciebie?! I nie mów o niej!

Przyjaciel wstaje, zrzuca z siebie koc i podnosi plecak.

– Idę. Napij się. Dobrze ci zrobi. Trzymaj się, stary.

Idzie.

– Uff.

Kończę kolejną kawę. Wygrzebane z kubka fusy syczą w żarze. Kątem oka widzę butelkę na pniaku. Płyn w środku błyska pięknie, jakby to był ogień w płynie. Nie było ogniska, przy którym bym nie pił. To jest pierwsze. Whisky świetnie komponuje się z dymem.

Zjadam jabłko i banana. Atmosfera zapomnienia o problemach wciąż utrzymuje się po wizycie. Świadomość tego, co może się zdarzyć, jak wypiję, jest przytłumiona. I ta butelka wciąż woła jak syreni śpiew marynarzy.

– W sumie, co mi szkodzi?

Myję kubek po kawie i ten, z którego pił Mariusz. Biorę butelkę z pniaka i przez chwilę oglądam. Jest przezroczysta, lekko rubinowa i z chlupoczącym w środku płynem wygląda w blasku ognia, jak artefakt ze złotego miasta Inków. Chwila, w której mogę

się jeszcze wycofać, właśnie mija. Odkorkowuję i nalewam sobie. Whisky jest wyborna i z początku faktycznie nic się nie dzieje. Podsuwa bezpieczne wspomnienia o kumplach i wesołych, męskich wieczorach. Jak cicha kochanka, która przez chwilę udaje, że nie jest zazdrosna.

Szybko zaczyna działać. Najpierw wlepiam wzrok w ogień. Myśli, które trzymam na uwięzi rozjuszają się coraz bardziej, próbują wydostać, aż w końcu jednej z nich się udaje.

Przypominam sobie, jak zawsze wracałem z pracy i wołałem po wejściu do domu.

– Halo!

Oczy się szklą, a nos wypełnia glutami, kiedy słyszę radosny głosik synka.

‘Simanooo!’

I widzę, jak mały wybiega z pokoju, ledwie wyrabia na zakręcie, rozpędza się przez przedpokój i wpada w moje ramiona.

Już nigdy go tak nie przywitam, jego buzia nie roześmieje się tak pięknie, a nóżki nie będą przebierały tak śmiesznie.

– Siemano, synku, siemano... – odpowiadam w ogień, a łzy płyną obficie, jak z niedokręconego węża ogrodowego.

Tego dnia synek przywitał mnie z jeszcze większą radością, bo wiedział, że będzie ognisko i pokażę, jak się rozpala. Dużo o tym rozmawialiśmy i przygotowywaliśmy, bo bezpieczeństwo jest najważniejsze.

Miał trzy lata i był taki mądry.

Wszystko wybucha. Obrazy trzymane na łańcuchu przez potężnego strażnika, którego zamroczyła whisky, zrywają się jak



głupie psy, które natychmiast biegną tam, gdzie nie powinny. Zaczynają wpychać się jeden po drugim. Nie mogę już nad tym zapanować. Właśnie dlatego nie chciałem pić. Jak mogłem o tym zapomnieć?

Widzę Magdę i Borysa tamtego dnia. Robią w łóżku dom z kołdry i wołają, żebym do nich przyszedł.

‘Tata, chodź! Dom!’

Śpieszę się do pracy, ale nie mogę się powstrzymać, żeby nie sprawić synkowi radochy. Dopiero kiedy włożę pod kołdrę, mały się rozkręca. Szaleje z wytrzeszczonymi oczami i roześmianą japką. Przerywa czasami i przytula się najpierw do mamy, a potem do mnie.

‘Kocham mamusię! Kocham tatusia!’

Powinniśmy byli zostać w łóżku cały dzień. Nigdzie się nie ruszać. Mogłem też jechać z nimi, olać ognisko i te kartony.

Na nic tłumaczenia od dwóch miesięcy, że już jest za zimno na ogniska. W końcu wpadam na pomysł po tym, jak kupiliśmy nowy kibelek, odkurzacz i gofrownicę, że można spalić kartony. W piwnicy jest też kilka niepotrzebnych desek.

Co to za radość. Ledwie daje mi zjeść obiad po pracy.

‘Mamusia, płosie, apław, apław.’ – Mały pokazuje mamie na zsuniętą skarpetkę.

‘Już naprawiam, mój łobuziaku.’

Ubierają się do ogrodu. Borys uwielbia ogniska, siedzieć ze mną i słuchać, jak opowiadam o dzikim zachodzie i Indianach. Nic nie rozumie, ale kocha tatę, spędzać ze mną czas i słuchać mojego głosu.

‘Mamusia, buty!’

‘Tak, już zakładamy.’

‘Mamusia, ciapka.’ – Złapał się za głowę.

‘Tak, najpierw buty, kurtka, czapka i szalik.’

‘A szyje!’

‘Tak, na szyję.’

Słyszę ich głosy i potwornie płaczę.

Patrzę w prawo i widzę przez łzy, jak kucam przy palenisku i trzymam synka, a ten w wyciągniętej ręczce ściska skręcony papier i czeka, aż podpalę, a on będzie mógł podłożyć ogień.

Potem Magda przychodzi po Borysa, mają jechać w odwiedzinę do cioci, uziemionej po operacji.

Całuję żonę i szepczę do ucha.

– Szykuj się na wieczór, świntuszko.

Całuję synka, który protestuje, bo kartony i suche deski palą się pięknie.

‘Jeszcze będziemy palić ogniska. Chodź, pojedziemy samochodem’ – mówi mama.

‘Duzio, duzio, o-giska’ – odpowiada Borys.

To jest taki mądry chłopak.

Ciotka mieszka niedaleko, tak cholernie, nierzeczywiście niedaleko...

Ogień jeszcze się palił, kiedy się dowiedziałem. Zszedłem do ogrodu otępiały. Nie docierało do mnie, że już ich nie ma.

Jak nie ma?

Usiadłem na ławce i patrzyłem w dogasający ogień. Pomyślałem, że przecież to mój synek rozpalił i nie może zgasnąć. Pobiegnę po drewno do lasu, szukałem po omacku, bo było już

ciemno, a nie miałem latarki, nie miałem nic. Za to wyraźnie słyszałem głos Borysa. Zawsze w tym samym miejscu, na głównej drodze, kiedy szliśmy do lasu na spacer, mówił to samo, sam go tego nauczyłem.

‘Di di, da da, bu bu.’

Ogień mojego synka pali się przez te wszystkie dni. Muszę go strzec. Nie może zgasnąć.

Nie mogę wrócić do domu. Moi ukochani są w każdym kącie. Pełno ich tam. Nie mogę o nich myśleć, bo tak ogromna miłość, jaka mnie wypełnia, w jednej chwili odcięta od odbiorników, jakimi byli, zabije mnie natychmiast. Jeśli mam żyć, muszę przeczekać, kupić czas, żeby samotność okrzepła.

Nikomu nie daję się przekonać, żeby wejść do domu. Nie byłem na pogrzebie. O niczym nie chcę słyszeć. Mama i przyjaciele przynoszą, czego potrzebuję. Jestem im wdzięczny.

To koniec.

– Za szybko. – Spoglądam na butelkę.

Nie jestem jeszcze gotowy na wspomnienia, bo każde z nich jest podpisane okrutnym: Już ich nie ma.

I wszystkim, co z tym związane. A ja jestem za miękki, żeby to przetrwać.

Obrazy i dźwięki tłoczą się niepowstrzymane, jak woda pod ciśnieniem przez pęknięcie w rurze. Widzę roześmiane twarze, słyszę głosy.

Czuję ciężar synka, kiedy wyciągam go z kąpieli, jego śmieszne ramionka, kiedy go ubieram. Jak przy tym rozmawiamy, jak się wygłupiamy.

Widzę jego słodką, szczęśliwą buźkę, kiedy mu czytam, a on

słucha i uderza piąstką w książkę, kiedy żuk puka w okienko biedronki, albo pokazuje na paluszkach, że były dwa koguty...

Widzę Magdę jak rozmawiamy wieczorem, przytulam i całuję jej głowę...

Nie mam już siły przełykać, żal dusi coraz bardziej, trwa o wiele za długo i staje się nie do zniesienia.

Wypuszczam z ręki kubek, a resztką whisky wylewa się na trawę. Nie zauważam tego, nie zwracam uwagi na to, co się ze mną dzieje. Przewracam się na bok i kładę na ławce. Myślę tylko o nich, że już ich nie przytulę.

Sąsiadki siedzą od dłuższej chwili w oknach i płaczą, nawet ich mężowie ronią łzę. Nie mają pojęcia, że właśnie pęka mi serce.

Jeszcze słyszę głos żony.

‘Misiaczk, tylko nie siedź za długo, żebyś jutro był czynny.’

I widzę, jak mama łapie się za usta, kiedy mnie znajduje na ławce. Ogień zgasł. Tylko żar w palenisku długo jest gorący, jeszcze kiedy mnie chowają przy żonie i synku.